STRAŻ NAD WISŁĄ

Rok III. Nr 30



OSTATNIA DROGA BELINY
Fragment konduktu pogrzebowego w Krakowie. Trumnę niosą na ramionach dawni ułani Beliny. Obok trumny kroczy eskorta honorowa Beliniaków.

To warto przeczytać

CENA 35 gr

POMORSKIE CZASOPISMO ILUSTROWANE

Ciekawostki

CHIŃSKIE „ZADUSZKI"

Śmierci przeciętnego Chińczyka i jego pogrzebowi towarzyszy jeszcze większa ilość przesądów i zabobonów, niż jego narodzinom. A więc przede wszystkim choremu nie można pozwolić umrzeć w domu. Zanieczyściłoby to łoże rodzinne. Wynosi go się więc na inne łóżko, poza dom. Łóżko to nie może być po tym już używane. W chwili, gdy konający wydać ma ostatnie tchnienie, wyciąga mu się poduszkę spod głowy. Jest to proceder niezwykle okrutny, gdyż przyśpiesza on śmierć umierającego, który, nie mogąc oddychać w tej pozycji, dusi się zwykle. Dla Chińczyków decydujące jest jednak, że umierający „winien skonać w spokoju". A ponieważ chiński znak pisany, odpowiadający pojęciu „spokój", oznacza równocześnie „na płask", przeto, jeśli konający ma umrzeć spokojnie, musi to uczynić w tej właśnie pozycji.

Gdy tylko oczywistym się staje, że zgon jest coraz bliższy, rodzina zaczyna sposobić szaty pośmiertne dla umierającego. Szaty te muszą być dostosowane do najbardziej drobiazgowych i obwarowanych najrozmaitszymi przesądami przepisów. A więc buty zmarłego muszą być z papieru i posiadać cienkie, giętkie podeszwy, zmarły nie zniósłby bowiem podeszew twardych. Ubranie nie może mieć metalowych guzików, gdyż byłyby one zbyt ciężkie i dusza zmarłego nie zdołałaby ich unieść. Nie wolno też dawać nieboszczykowi paska do spodni. Pasek nazywa się bowiem po chińsku „tai-tse" i oznaczany jest przez dwa znaki, które przy nieco innej intonacji znaczą „unieść, zabrać dzieci", gdyby zaś zmarły rzeczywiście chciał to uczynić, przyniósłby pozostałej rodzinie najcięższe z nieszczęść. Niekiedy związuje się nieboszczykowi stopy, aby upewnić się w ten sposób, że nie ucieknie. Taka ucieczka mogłaby spowodować nieobliczalne następstwa.

Zmarłego wolno złożyć na katafalku tylko w odpowiednim dniu, i to wyłącznie podług horoskopów kalendarza Hoang-li. Jeśli przypadkiem trzeba czekać jeden lub dwa dni, zachodzi obawa, że dusza zmarłego zniecierpliwiona, może powrócić i niepokoić pozostałą rodzinę. Aby odebrać jej ochotę do tego, kładzie się na ciele nieboszczyka wielki nóż kuchenny. Dusza, ujrzawszy tak niebezpieczny instrument, będzie się bała zbliżyć.

Każdy gwóźdź trumny musi być obwinięty, przed wbiciem go, we włos zmarłego. Przed definitywnym zamknięciem trumny, otwiera się usta nieboszczyka i wsypuje się do nich parę ziarnek ryżu. Jest to ostatni posiłek przed wielką podróżą. Zanim zacznie się wbijać gwoździe, najstarszy syn wzywa zmarłego ojca, aby cofnął ręce, gdyż gwoździe mogą mu je zranić. Prosi go też czasem, aby nie obawiał się hałasu i tłumaczy, że będą zamykać trumnę. Jeśli zmarłą jest młoda kobieta, kładzie się jej do trumny żywą rybę, może być bowiem, że przyczyną śmierci była zbyt słaba żywotność jej duszy. W tym wypadku ryba użyczy jej swojej żywotności i pomoże dotrzeć bez wielkich trudności do królestwa zmarłych. Jeśli natomiast w trumnie jest dziecko, pozostawia się w niej zazwyczaj mały otwór. Chodzi o to, aby dusza dziecka (ale tylko chłopca) mogła wydostać się z trumny, aby reinkarnować się na nowo w łonie matki, co, podług wierzeń Chińczyków, może być uskutecznione w rok po zgonie dziecka.

Jest rzeczą zupełnie niemożliwą opisać wierzenia chińskie, związane z losami duszy po śmierci, oraz skomplikowane formy czci, oddawanej jej, za pośrednictwem najróżniejszych ofiar i ceremonii, przez pozostałą rodzinę. Zajęłoby to całe tomy. Kult przodków jest przecież podstawowym elementem całego chińskiego systemu religijnego. Nadmienimy więc jeszcze tylko ,że ciało zmarłego musi pozostawać po śmierci w ciągu siedmiu tygodni w domu rodzinnym. Codziennie w ciągu tego czasu bonzowie odprawiają nad nim modły. Jeśli i to nie pomaga i jeśli dusza nieboszczyka nawiedza po pogrzebie dom rodzinny, sporządza się kompletne ubranie z dobrego materiału i wysokie łoże z całkowitą pościelą. Łóżko ustawia się przy grobie, kładzie się doń ubranie w ten sposób, aby imitowało osobę zmarłego, umieszcza się tabliczkę z jego nazwiskiem w tym miejscu ubrania, gdzie powinny znajdować się piersi nieboszczyka, przykrywa się to wszystko nowiutką kołdrą, obstawia papierowymi modelami przedmiotów codziennego użytku i podpala wreszcie. Jest to ofiara, złożona duszy zmarłego przodka. Ofiara ta jest jakoby bezwzględnie skuteczna, ponieważ jednak kosztuje do 50 dolarów, niewielu tylko może sobie na nią pozwolić i liczni nieszczęśliwcy muszą nolens volens zgodzić się na przebywanie z duchem nieboszczyka, zagniewanym, że żałuje mu się ofiar w jego zagrobowym życiu.



NA WZÓR — RZEŹB ANTYCZNYCH
W Pałacu Sztuki w Berlinie została otwarta trzecia ogólnoniemiecka wystawa sztuki.
Ogólną uwagę zwraca tam brązowe popiersie Mussoliniego, dzieło Adama Antesa, z Darmstadtu.

W dzień zaduszny pamiętajmy nie tylko o grobach najbliższych, ale także o grobach i mogiłach nieznanych żołnierzy-bohaterów poległych za Ojczyznę!

STRAŻ NAD WISŁĄ

Rok VIII.
Nr 30 (354)

TORUŃ-BYDGOSZCZ-GDYNIA, 30. X. 1938 r.

BOMBY NAD MIASTEM

Wojnę nowoczesną, wojnę „totalną", cechują przede wszystkim napady bombowców na miasta. Celem tych napadów jest głównie wywarcie demoralizującego wpływu na ludność, ponadto zaś bombardowanie węzłów kolejowych, fabryk, lotnisk, magazynów i t. p. Bombardowanie tych celów wojskowych musi zawsze pociągnąć za sobą straty ludności cywilnej. To trzeba sobie dobrze uświadomić i być do tego przygotowanym. Jeżeli Hiszpanie bombardują w sposób bezwzględny swoją ludność, należącą do tego samego narodu, to nie można się łudzić, aby napastnik miał jakiekolwiek skrupuły w tym względzie. Naloty bombowe odbywać się będą w dzień i w nocy. Według obecnych poglądów, panujących w taktyce lotniczej, wykonanie tych nalotów przedstawia się następująco: Wyprawa bombowa dzienna na duży cel składa się najmniej z jednego dywizjonu bombowego (zazwyczaj 3 eskadry po 6—9 samolotów), a częściej z 2-ch, 3-ch lub 4-ch dywizjonów. Zatem na miasto nalatuje 18 do 100 samolotów w szerokim ugrupowaniu. W zależności od pogody oraz czynnych środków obrony przeciwlotniczej miasta (stwierdzonej w czasie poprzednich nalotów lub drogą wywiadu), wyprawa leci na małej, średniej lub dużej wysokości. Przy dobrej pogodzie nieprzyjaciel najczęściej poleci nad dużym miastem na wysokości około 3000 m, w obawie przed artylerią przeciwlotniczą; przy dużym zachmurzeniu poleci pod chmurami lub też nad chmurami i wyłoni się z nich bezpośrednio przed miastem. Celność bombardowania z wysokości 2000 m jest stosunkowo mała, jednak każda bomba zrzucona na gęsto zaludnione miasto jest skuteczna, pomimo że nie trafia w cel, który sobie nieprzyjaciel wybrał do bombardowania.

W mieście tymczasem od 10 minut mniej więcej panuje stan alarmu przeciwlotniczego; od zachowania się ludności w czasie alarmu zależą w bardzo dużym stopniu skutki bombardowania. W chwili dolatywania wyprawy do miasta rozlega się huk dział przeciwlotniczych, armatek i karabinów maszynowych. Jednocześnie padają bomby, wali się jakiś dom, wybuchają pożary; jeden, dwa lub więcej samolotów nieprzyjacielskich, zestrzelonych przez środki OPL, spada w płomieniach na miasto. Trwa to wszystko dwie — trzy minuty; potem słyszy się sygnały straży pożarnej, karetek pogotowia. Miasto przystępuje do leczenia odniesionych ran, liczenia poniesionych strat.

Tymczasem własne lotnictwo myśliwskie ściga wyprawę bombową, by dopaść wroga, choćby w jego drodze powrotnej i pomścić miasto.

W nocy lotnictwo bombowe działa pojedyńczymi samolotami, w krótkich odstępach czasu, zasadniczo na małych wysokościach, 500 — 1000 m. Jest to działanie nękające. Oto około północy rozlega się huk bomb lotniczych i strzałów OPL; po 10 — 15 minutach nowy warkot silników budzi uśpione nerwy i tak do świtu samego miasto przeżywa krótkie, lecz stale powtarzające się bombardowanie. Nocne bombardowanie jest dla wykonawców trudniejsze i celność jego jest bardzo mała, jednak i obrona w nocy jest trudniejsza. Praca w mieście musi być stale przerywana; ciemności zwiększają nerwowy nastrój.

Jakież są skutki bombardowania? Materialne i moralne; jedne i drugie mogą być różne.

Przy bombardowaniu miast, a zwłaszcza Madrytu, stosowano w obecnej wojnie hiszpańskiej bomby 100 i 300 kg oraz bomby zapalające. Bomba 100 kg, trafiając w dom murowany, przebija dach i dwa piętra. Bomba 300 kg przebija czteropiętrową kamienicę i zatrzymuje się dopiero w piwnicy. Bomby burzące (50, 100 i 300 kg) trafiając w jezdnię i chodniki, tworzą wyrwy o szerokości do 4 metrów i głębokości około 2 m, niszcząc urządzenia kanalizacyjne, gazowe i elektryczne.

Godnym uwagi jednak jest właśnie przykład Madrytu, który mimo częstych nalotów nieprzyjacielskich, pomimo zniszczeń i strat, poniesionych wskutek bombardowania lotniczego, do dziś nie uległ wobec swych przeciwników. Napady lotnicze i bombardowania nie wpłynęły decydująco na jego stanowisko.

Do skutków bombardowania należą straty w ludności, zabici i ranni. Doświadczenia jednak wielkiej wojny wykazały, że znacznie większa jest ilość strat ludzkich, spowodowanych przez popłoch w chwili napadu lotniczego, jak przez samo bombardowanie. Dlatego też opanowanie popłochu pozostaje nadal najistotniejszym składnikiem zagadnienia obrony przeciwlotniczej miast. Wpływ moralny nalotów bombowych jest bardzo doniosły. W czasie wojny światowej zniszczenia materialne i straty w ludziach na skutek bombardowań lotniczych były stosunkowo małe, natomiast wpływ moralny wyrażał się w ogromnym obniżeniu wytwórczości w napadanych obszarach (nieraz do 75%) wskutek niestawienia się do pracy, w nerwowym i płochliwym nastroju, w masowych ucieczkach z miast.

Jeżeli więc naród nie będzie odpowiednio wychowany, można w przyszłej wojnie oczekiwać całkowitego obezwładnienia przemysłu, wskutek wpływu moralnego nalotów bombowych, co może bezpośrednio przyczynić się do przegrania wojny. Wojnę prowadzi obecnie cały naród, straty więc muszą być siłą rzeczy na froncie i na tyłach. Z tym trzeba się liczyć, trzeba umieć patrzeć mężnie niebezpieczeństwu w oczy i starać się uczynić wszystko, aby straty zmniejszyć.

Czy jest to możliwe? Bezwzględnie tak! Zdaniem generała Fullera, doświadczonego obrońcy Londynu, trzeba tylko urzeczywistnić następujące składniki obrony: organizację władz miejskich, organizację ludności, bezpośrednie środki obrony.

Omówienie tych części składowych OPL miast wykracza poza ramy niniejszego artykułu. Można jednak stwierdzić, że porządek i karność pozwolą opanować niebezpieczną psychozę popłochu i zmniejszyć straty, oraz że społeczeństwo musi wydatkować odpowiednie sumy na środki obrony przeciwlotniczej i na własne silne lotnictwo, by żaden wróg nie mógł o nas mówić słowami Aldousa Huxleya z „Drwiącego Piłata":

„Cokolwiek się stanie, każdy wie:
My mamy strzelby — oni nie".

Obrona przeciwlotnicza miast

Niebezpieczeństwo lotnicze wysunęło się w ostatnich latach na pierwszy plan rozważań o wojnie. Nie ma wcale przesady w twierdzeniu, że Anglia w okresie zatargu o Abisynię ulękła się groźby, jaką stanowiło dla niej włoskie lotnictwo bombowe — i w drugim twierdzeniu, że do utrzymania pokoju w Europie w ostatnich krytycznych tygodniach przyczynił się w dużej mierze fakt istnienia silnego lotnictwa Niemiec i Włoch, z którymi liczyć się musieli prócz Czechów także Francuzi i Anglicy. Gorączkowe przygotowania do obrony przeciwlotniczej i próbne ćwiczenia OPL w Londynie, Budapeszcie i innych wielkich miastach, o czym prasa donosiła w czasie kryzysu pokojowego w ostatnich dniach września, są dowodem, że zrozumiano tam należycie, iż nowoczesna wojna to w dużej mierze groźba napadów lotniczych, do których trzeba być dobrze przygotowanym.

Celem napadów bombowych na miasta jest głównie wywołanie popłochu przez zagrożenie życia i mienia ludności. Bezwzględne zabezpieczenie życia i mienia ludności jest wprawdzie niemożliwe, natomiast nie ulega wątpliwości, że już przez samo opanowanie popłochu można wydatnie zmniejszyć straty, zarówno w ludziach, jak i w materiale.

Obrona przeciwlotnicza miast obejmuje dwie różne grupy zagadnień: jedna to środki i sposoby zwalczania samolotów bombowych nieprzyjaciela, druga — to środki i sposoby, których celem jest zmniejszenie skutków bombardowania.

Do pierwszej grupy należą: lotnictwo myśliwskie, artyleria przeciwlotnicza, karabiny maszynowe przeciwlotnicze, balony zaporowe, reflektory. O przydziale tych środków i ich działaniu decydują władze wojskowe, nie będziemy ich przeto szerzej omawiać. Zaznaczyć jednak trzeba, że żadne państwo na świecie nie może posiadać środków tych tyle, by zapewnić zwalczanie bombowców nieprzyjacielskich w pobliżu każdego miasta. Poza tym pamiętać trzeba, że środki te utrudniają tylko lotnictwu nieprzyjacielskiemu jego niszczącą działalność, nie mogą jej jednak uniemożliwić całkowicie. Wynika z tego jasno, że druga grupa zagadnień OPL miast ma pierwszorzędne znaczenie.

Środki i sposoby zmniejszania skutków bombardowania są następujące: budowa schronów, przystosowanie nowych budowli do OPL, organizacja władz miejskich, organizacja ludności, częściowa ewakuacja ludności.

Umyślne schrony przeciwlotnicze powinny być budowane w pobliżu fabryk, szkół, dużych bloków mieszkalnych i biurowych, w parkach i ogrodach miejskich. W Anglii w ciągu ostatnich tygodni wybudowano dużą ilość schronów w postaci szerokich rur betonowych wpuszczonych na ½ — 1 m pod ziemią.

Wszystkie nowe budowle powinny być przystosowane do OPL, to znaczy, że powinny być jak najbardziej odporne na ogień (bomby zapalające) i posiadać obetonowane piwnice, urządzone podobnie jak schrony. W budynkach państwowych i samorządowych można to przeprowadzić drogą odpowiednich przepisów; prywatni właściciele domów powinni w dobrze zrozumiałym interesie własnym sami dostosować się do wymagań OPL.

Organizacja władz miejskich i organizacja ludności mają głównie na celu opanowanie popłochu, który jak wiadomo z licznych przykładów, zwiększa niepomiernie straty w razie napadu lotniczego. Popłoch jest zaraźliwym stanem wzruszenia, wywołanym przez lęk. Człowiek ogarnięty popłochem chce za wszelką cenę oddalić się z miejsca zagrożonego przez nalot.

Władze miejskie powinny być tak zorganizowane, by mogły z chwilą ogłoszenia alarmu przeciwlotniczego: ograniczyć ruch miejski, zamknąć ruch między dzielnicami, udzielać ludności wskazówek za pośrednictwem głośników, regulować udzielanie pomocy lekarskiej i działalność straży ogniowej, zamknąć prywatny ruch telefoniczny. Wymienione zagadnienia muszą być oczywiście szczegółowo rozpracowane, przygotowane i przećwiczone. Urzędnicy samorządowi, nauczyciele, policja, straż ogniowa, urzędnicy pocztowi i służby zdrowia powinni przejść odpowiednie przeszkolenie przeciwlotnicze.

Zdaniem doskonałego znawcy spraw nowoczesnej wojny angielskiego generała Fullera, „nerwowość ludności na naloty jest wprost proporcjonalna do jej głupoty i braku karności". Przeto uświadomienie ludności i ujęcie jej częściowo w karby organizacyjnej karności mają tu pierwszorzędne znaczenie. Ludność powinna zrozumieć, że jeśli w ciągu kilku minut po alarmie nie można osiągnąć schronu, to najlepiej siedzieć w domu.

Karność ludności, stosowanie się do przepisów ustalonych i wskazówek udzielanych doraźnie za pomocą radia, ułatwia należenie większości młodzieży do organizacji P. W. sportowych i innych. Z rozumnych i praktycznie myślących mieszkańców obojga płci należy tworzyć komórki OPL, które współpracować będą w swoich dzielnicach miejskich z policją, strażą ogniową, drużynami ratowniczymi. W chwilach grożącego niebezpieczeństwa większość ludzi szuka oparcia w jednostkach silnych duchowo: tych mocnych ludzi potrzeba jak najwięcej. Chcąc ułatwić tym przywódcom zadanie ich w razie rzeczywistego niebezpieczeństwa, trzeba zawczasu ludność przyzwyczaić do posłuchu. W tym celu należy przeprowadzić częste ćwiczenia obrony przeciwlotniczej. Wojsko na całym świecie co roku odbywa manewry, t. j. ćwiczenia zbliżone jak najbardziej do wojennej rzeczywistości; ćwiczenia OPL miast, to takie same manewry, bez których nie może być mowy o zdaniu egzaminu w czasie wojny.

Częściowa ewakuacja ludności z miast, t. j. kobiet, dzieci i starców, powinna być również przewidziana i planowana: można by to zagadnienie rozwiązać przy pomocy umów między samorządami miejskimi i wiejskimi, przygotowując mieszkania, schroniska, środki przewozu, zaopatrzenie w żywność, pomoc lekarską i t. p.

Naszkicowany powyżej zakres zagadnień obrony przeciwlotniczej miast czeka na rozwiązanie, na energiczne zajęcie się nim. Władze miejskie i organizacje społeczne (L. O. P. P.) mają przed sobą wielkie zadanie. Trzeba jednak pamiętać, że do wykonania ich potrzeba wiele pieniędzy i przede wszystkim zrozumienia oraz dobrej woli obywateli. Niewiele pomogą środki materialne, jeśli zaniedba się dozbrojenie duchowego społeczeństwa.

Musimy raz jeszcze dowieść, że w chwilach dla Państwa decydujących wszyscy Polacy są zawsze zjednoczeni.

LEON SOBOCIŃSKI

Zdobywamy Wschód



GIEŁDA PRACY W PIŃSKU

Poleszuki czekają aż żyd jakiś da im pracę, przeważnie są to drwale. Ci ludzie pracują za „marne" wynagrodzenie od 1 zł — 2,50 zł cały dzień, do zachodu słońca. To ich miernik godzin pracy. Teraz ich jest mało, bo zdjęcie jest zrobione w południowych godzinach.

Słusznie wołamy o kolonie. Nie dostaje nam surowców, brak nam ujścia dla naszych sił żywotnych. Kamienne jest życie małorolnego na kusym spłachetku pola; bezrobotny dławi się niedostatkiem. Wieś przeludniona, miasta i miasteczka przeciążone żydłactwem. Kupcowi polskiemu brak szerokiego oddechu.

Mamy polskie morze, ale za to żydowski handel morski. Posiadamy na wschodzie olbrzymie obszary i te wyczekują na kolonizację wewnętrzną.

Na przestrzeni 1412 kilometrów granicy z Rosją sowiecką, rozwartej jak olbrzymie ramiona, nie posiadamy miast polskich. Chwilami zdaje się, że to granica żydowsko-bolszewicka.

Więc te ziemie musimy skolonizować i gospodarczo ufortyfikować. Ta prawda i ten nakaz skaczą nam do oczu co dnia niepokojącym pytaniem: cośmy w tej mierze zrobili?

Jestem tu, na dalekim od Torunia polskim Wschodzie. W Pińsku jestem. Czy to polskie miasto? — zadaję pytanie, łażąc po ulicach w dzień sobotni, zapluskwiony szmajgełesami obojga mniejszościowej płci. Nie, to nie mniejszość. Bądźmy ściśli. My byśmy w tym Pińsku plebiscytu nie wygrali; toć tu skład Rady Miejskiej w 75 proc. stanowią synowie z pokolenia Judy.

To nie jest ghetto żydowskie. Nas tu się tylko toleruje. Znajdujemy się w owym Pińsku, jak i w większości miast na polskim Wschodzie jakby na marginesie życia społecznego. Polskość jest tu zepchnięta na szary koniec: cicha, nieśmiała, czegoś wystraszona. Mieszkamy kątem. Niby nasza ziemia, a jakbyśmy na nią nie mieli przewłaszczenia.

Palestyna! Arcypalestyna. Cichy, przytulny zakątek żydowski.

Oto panorama Pińska.

*

Czemu tak przydługi, niepociągający wstęp niniejszego artykułu? Dlatego, że pragnę na to ponure tło rzucić kilka barw jaśniejszych. Drgnęliśmy gospodarczo. Już wyruszyły polskie pikiety gospodarcze na zjudaizowany Wschód. Wystawiliśmy pierwsze czaty i wznosimy gospodarczą linię Maginota na polskim Wschodzie.

Jest ich pięciu w Pińsku tych pierwszych pionierów handlu polskiego: trzech z Wielkopolski, dwóch z Pomorza. Jeden z tych kupców, dwudziestokilkuletni mężczyzna pełen życia i zapału, posiada maturę. Inni wiekiem mu równi, mają już dobrą szkołę praktyczną na Zachodzie. Trzymają się razem, reprezentując odmienne branże.

Pouczające, a przy tym ciekawe są dzieje walki tych śmiałków, którzy poszli zaniedbanym szlakiem polskiej ekspansji i karczują dżunglę żydowskiego handlu. Zdrowa ta nasza młodzież i jak potrafi romantyzm myśli pożenić z realizmem czynu. Bo na rozgorączkowany romantyzm patrzy to całe nieprawdopodobne przedsięwzięcie. W morzu żydowskim pięciu dzielnych pływaków już trzy lata utrzymuje się na powierzchni. Nie idą na dno, lecz płyną coraz dalej i szerzej zataczając kręgi. Zdumiewające to wszystko, skoro się weźmie pod uwagę fanatyczny solidaryzm rasy żydowskiej.

My tu, na Zachodzie Polski, pikietujemy żydów, a tam, na Wschodzie, żydzi pikietują Polaków. Tak jest! Nie zmyślam! I to jak pikietują! Gdybyśmy się od żydów tej sztuki nauczyli, to w Polsce zachodniej szukałbyś żyda z latarnią.

Nasze pikieciarstwo — to niewinne przekomarzanie się z żydami. Trzeba posłuchać, co mówią o tym fakty. Jednak snujmy wątek opowieści po kolei.

Jakże to być może — zapyta niejeden roztropny Polak małodusznego serca — ażeby kilku młodzików mogło się utrzymać wśród wrogiego naogół elementu, bez większego życiowego doświadczenia, bez większego kapitału? Straceńcy i marzyciele!

Tedy posłuchajmy co mi ci „straceńcy" naopowiadali. Nie będę dodawał jak srodze byli mi radzi, że jestem z prasy i opiszę ich dolę i niedolę. Ale nie sądź, łaskawy Czytelniku, że mi się skarżyli. Co to, to nie. Owszem, z zapałem w oczach, z humorem w słowie dzielili się ze mną swymi przeżyciami, uradowani na duszy, że o ich szarej pracy i twardym wysiłku będzie wiedziało społeczeństwo. Bo naogół w prasie tak rzadko się o tym wszystkim czyta. To nie jest efektowne. Prasa codzienna goni za sensacją i rewelacją.

A czyż może być lepsza i zdrowsza sensacja nad to, że poszerzamy granice gospodarcze Ojczyzny?

Dobrze, że pan redaktor tu do nas zawitał — powiada do mnie pan Łuniewicz. Niech się tam na Pomorzu dowiedzą, że zrobiliśmy już kawał dobrej roboty. Zdobędziemy ten Wschód.

— Opiszę wedle możności i sił swego pióra — powiadam — ale wyjaśnij mi pan, panie Łuniewicz, tajemnicę jak sobie dajecie radę, że żyjecie i nie poszliście jako zaprawa na macę.

— Śmiejemy się wspólnie. Pewno jednak nie z dowcipu mojego, tylko — ot tak, jest nam wesoło. Wszyscy się zebrali w jednej izbie. Prowadzę wywiad zbiorowy.

— Widzi pan — słyszę rezolutną odpowiedź — jak się chce, to można dużo zrobić. My na zachodzie mamy przesadne pojęcie o zdolnościach handlowych żydów. Pewno, że naszymi metodami pracy nie ujechalibyśmy tutaj daleko. Tutejszemu chłopkowi trzeba dać się wytargować. Bez targu ani rusz. Gdyby mu nic nie odstąpić, toby powiedział, że go ocyganiono, albo i wyszedł ze składu. Uczciwość jednak nasza jedna nam sympatię okolicy i polskiej ludności miejskiej. Z początku szło ciężko. I teraz nie jest łatwo, ale już znacznie lepiej, co napawa nas nadzieją, że będzie dobrze. Gdyśmy tu — ciągnie dalej mój rozmówca — z kolegą Michalskim przyjechali po raz pierwszy, to nigdzie nie mogliśmy dostać lokalu. W



Prywatna hebrajska 7-mio kl. szkoła powsz. Midrasza-Tarbut w Pińsku, ul. Brzeska Nr 24.

centrum miasta niepodobieństwo, gdyż wszystkie domy znajdują się w rękach żydowskich. Żyd, który by dał nam lokal na skład, nie mógłby się pokazać na ulicy. Ukamieniowaliby go chyba. Pierwszą noc spędziliśmy na dworcu. Widocznie coś podejrzewali. Żydzi mają wspaniały wywiad.

— No, i jak wybrnęliście, panowie z sytuacji?

— Na drugi dzień poszliśmy szukać lokalu na peryferiach miasta. Pytaliśmy się o właścicieli chrześcijan. Dopiero cudem prawie udało się nam za miastem wynająć mały domek od żony pewnego wojskowego. Ale i tu żydzi nie dali nam spokoju. Nagabywali naszą gospodynię, żeby nam zadatek zwróciła, a oni zapłacą za lokal o 50 proc. więcej.

— I co, zgodziła się? — przerywam.

— Widzi pan, że nie!

— Dzielna patriotka! — dodałem z ulgą. Takiej przynależy się krzyż zasługi. Proszę, niech pan mówi dalej.

— Gdy to nie poskutkowało, urządzili nam formalną blokadę. Pikietowali nasz skład od wczesnego ranka do zamknięcia składu. Oczywiście, że nie potrzebowali pilnować swych wyznawców, bo ci są aż nadto uświadomieni, ale nie dopuszczali do nas chłopów ze wsi. Musieliśmy wezwać pomocy policji. Żydzi, odstraszając chrześcijańską klientelę od naszych składów, przestrzegali chłopków, że to przyjechała poznańsko-pomorska czarna sotnia. A wiadomo panu jakie tu znaczenie ma ten carski termin z czasów przedwojennych. Nazywali nas panami bawiącymi się w handel i przygotowującymi pańszczyznę.

— I czy chłop tutejszy wierzył w te brednie?

— Trudno sprawdzić, ale jeżeli pan weźmie pod uwagę tutejszą ciemnotę, to wszystko możliwe. Nie uwierzy pan, że na naszym Polesiu są takie zatracone kąty, gdzie niejeden ze starszych chłopów w ogóle w swym życiu na oczy nie widział kolei. I jeszcze lepsze kawały. Ale to nie kawał, na to przysięgnę.

— Wierzę panu bez przysięgi, proszę.

— Opowiadał mi niedawno jeden z urzędników, który z racji swego urzędu jeździ w głąb Polesia, że w jednej z wiosek, zabitych od świata deskami, sądzono, iż podatki wciąż jeszcze płacą rządowi carskiemu. Trudno było im wytłumaczyć, że mamy rządy polskie.

— Zdumiewające. Napiszę o tym na pańską odpowiedzialność! — asekuruję się przezornie przed posądzeniem mnie o fantazję — zwracam się przezornie do swego rozmówcy.

— Słowo panu daję! — jak pan chce, to sprawdzimy.

— Więc dobrze, ale niech mi pan teraz powie, jak tutejsze społeczeństwo polskie reaguje na wasze poczynania?

— Jesteśmy zachwyceni. Bardzo dobrze! — słyszę chóralną odpowiedź. Na każdym kroku znajdujemy życzliwość: Jeden z moich rozmówców, który prowadzi rzeźnictwo, zwierzył mi się, że przyszedł do Pińska z 500 złotymi i dziś swego przedsiębiorstwa po dwóch latach prowadzenia nie oddałby za 5000 zł. Odczuwać się tylko daje brak kredytu. Gdyby nie to, efekty pracy mogłyby być jeszcze większe.

*

Po tej rozmowie, tak podnoszącej na duchu naszą wiarę we własne siły, wyruszam na szczegółowe oględziny miasta. Patrząc na te wypokraczone szyldy o koślawych hebrajskich znakach alfabetycznych, zadawałem sobie pytanie: Gdzie, u licha jestem? I pasja mnie porwała wściekła, gdy przechodzące obok mnie dwie wypasione na polskim chlebie żydowice prowadziły ze sobą ożywioną rozmowę w języku rosyjskim.

Więc bić żydów... po kieszeni, pamiętając, że każdy nowy warsztat polski na zmojżeszonym wschodzie — to kawał nowej, gospodarczej Ojczyzny.

Spółdzielczość to najskuteczniejsza broń w walce o spolszczenie handlu i przemysłu na ziemiach polskich. Nie wystarczy sympatyzować z ruchem spółdzielczym. Trzeba go czynnie popierać, realizując konsekwentnie znane hasło: „Swój do swego — po swoje"

MGR STANISŁAW WAŁĘGA

„Latający Holender"

(Dokończenie).

Gdyż w ten sam sposób da się po największej części wyjaśnić owe grozę budzące spotkania różnych statków i okrętów z okrętem-widmem. „Latający Holender" to w większości wypadków nic innego jak tylko takie wraki czyli pudła rozbitych, czy porzuconych przez załogę okrętów, unoszone przez fale, prądy i wiatry.

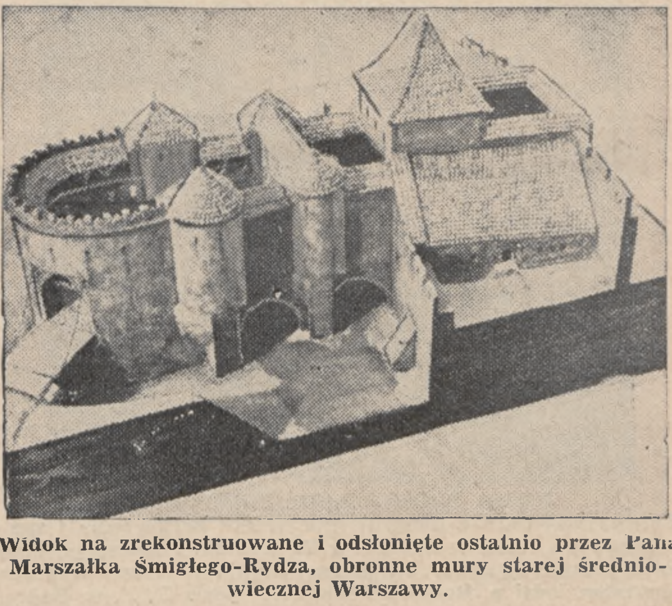
Angielski parowiec „Sickby" zderzył się z takim wrakiem 26 marca 1933 r. na osławionych wodach nowofundlandzkich w czasie szalejącej burzy śnieżnej i zamieci, uniemożliwiającej widzenie czegoś na dalszą odległość. Zderzenie miało przebieg łagodny. Zdołano ustalić, że to unoszone przez fale pudło okrętowe należało do innego angielskiego okrętu „Wyer Sargent", który przed czterema laty został porzucony przez załogę na pełnym morzu. Jak dotąd w historii tej całej nie byłoby jeszcze nic tak dziwnego, gdyby nie to, że w rok i cztery miesiące później, mianowicie w lipcu 1934 roku, gdy parowiec „Sickby" z powodu panującej mgły chciał wpłynąć do zatoki Chesapeake (północna Ameryka), natknął się znowu na unoszony przez fale wrak jakiegoś okrętu. I co się okazało. Otóż wrak ten był znowu pudłem okrętu „Wyer Sargent", które przez ten czas odbyło taką podróż. Z uwagi na niebezpieczeństwo tego wraku dla żeglugi zatopiono go teraz czym prędzej. Pływające i nurkujące wraki — to stałe niebezpieczeństwo dla okrętów. O ile bowiem rafy i mielizny są zaznaczone na mapach, to natomiast nikt nie może wiedzieć, gdzie się w danej chwili znajduje wrak jakiegoś okrętu, zwłaszcza wrak „nurkujący". Stąd tyle katastrof z tego powodu. W roku 1934 zanotowano aż 72 zderzenia pływających wraków z okrętami, przy czym zginęło aż 114 ludzi.

Można więc teraz zrozumieć, jak bardzo w dawnych czasach nocne spotkania okrętów z takimi ciemnymi, nieoświetlonymi, czarnymi pudłami opuszczonych statków, cichymi i martwymi, bezszelestnie niemal przesuwającymi się po wodzie, w dodatku „nurkującymi", to jest nagle wynurzającymi się z wody i znów w niej niknącymi — jak bardzo tego rodzaju spotkania mogły w umyśle zabobonnych i przesądnych żeglarzy przyczynić się do powstania i utrwalenia legendy o pokutującym kapitanie Holendrze i jego statku-widmie.

Ale legendę o „Latającym Holendrze" możnaby jeszcze w inny sposób wyjaśnić. Jak wiemy, zrazu widziano statek-widmo tylko przy Przylądku Dobrej Nadziei, tu zdaje się w ogóle zrodziła się cała ta klechda. Otóż akurat Przylądek Dobrej Nadziei jest z tego względu ciekawy i charakterystyczny, wręcz osobliwy, że tam właśnie spotykamy dziwne zjawisko atmosferyczne, a mianowicie fakt zgoła gdzieindziej niespotykany, że różne strefy wiatrów leżą tuż obok siebie. To też zdarza się tam dość często, że podczas gdy jeden żaglowiec z powodu ciszy morskiej musi wyczekiwać przez wiele godzin z obwisłymi żaglami na podmuch wiatru, — w tej samej chwili w niedalekiej odległości inny okręt z rozpiętymi wszystkimi żaglami sunie jak błyskawica po gładkiej fali wód. Tam bowiem nieco dalej jest już inna strefa wiatrów. Dziś my o tym wiemy i to nas wcale nie dziwi. W dawnych czasach jednak bezgranicznie zabobonni marynarze, nie rozumiejąc tego, uważali taki okręt za okręt-widmo; tu więc początek całej legendy o „Latającym Holendrze", którą mogły prócz tego zapłodnić także różne „zwidy i miraże", które na morzu są równie możliwe jak fata morgana na rozległych obszarach pustyni.

Jest jeszcze jednak jedno osobliwe wyjaśnienie faktu pojawiania się niektórym żeglarzom okrętu-widma właśnie koło przylądka Hoorn, położonego jak wiadomo na południu Ziemi Ognistej. Znajduje się tam mianowicie na bezludnym wybrzeżu Le Maire na Ziemi Ognistej jedna skała, która z pewnej odległości wygląda dokładnie jak okręt-żaglowiec. To też w półświetle zmierzchu, albo w czasie mgły często mylą się okręty i biorą tę skałę rzeczywiście za żaglowiec. Zwłaszcza w czasie burzy robi ta skała z daleka wrażenie statku zalewanego przez fale, znajdującego się w największym niebezpieczeństwie. Zmylone tym okręty, spiesząc na pomoc rzekomemu statkowi, same popadały w niebezpieczeństwo, a nawet ulegały rozbiciu o skaliste wybrzeża. Tak wpadł na skały przed kilku laty okręt włoski „Corona d'Italia", który chciał przyjść z pomocą rzekomemu okrętowi. Dopiero okręt norweski „Servia" ustalił przed kilku laty, że to skała tak zwodzi żeglarzy. Odtąd na mapach morskich Stanów Zjednoczonych, które i dziś jeszcze rozporządzają pokaźną flotą żaglowców, istnieje w odniesieniu do tego miejsca uwaga: Skała, łudząco podobna do okrętu".

W ten sposób dałoby się więc w zupełności wyjaśnić niepokojącą dotąd ludzi morza zagadkę „Latającego Holendra", który tu rzekomo koło przylądka Hoorn miał mieć swą siedzibę. Bardzo więc możliwe, że i ten okręt-widmo, który 11 lipca 1881 roku pojawił się przed okrętem angielskim „Bacchante" — był właśnie tą skałą-okrętem na wybrzeżu Le Maire. Tak, ale skąd się w takim razie wzięło czerwone światło, które widział książę Jerzy wraz z 13 ludźmi załogi okrętowej? Światło to musiało pochodzić od spadającego w dół meteora, zaś marynarz w „bocianim gnieździe" musiał widocznie z przerażenia źle stąpnąć, potknął się i spadł z góry na pokład. A że złamał sobie przy tym kark, więc to stało się przyczyną jego śmierci, a nie fatum związane z pojawieniem się „Latającego Holendra", jak to myśleli, być może, ówcześni świadkowie tego niezwykłego wydarzenia z księciem Jerzym na czele.



Widok na zrekonstruowane i odsłonięte ostatnio przez Pana Marszałka Śmigłego-Rydza, obronne mury starej średniowiecznej Warszawy.

WOJSKO W DNIU 11 LISTOPADA

Zostały już ustalone główne punkty wytyczne programu udziału wojska w tegorocznych uroczystościach Święta Niepodległości. Według tego programu, w przeddzień święta zostaną wygłoszone w oddziałach okolicznościowe pogadanki dla żołnierzy. Wieczorem na ulicach miast posiadających garnizony, odbędzie się capstrzyk orkiestr wojskowych.

W dniu 10 listopada przewidziane jest także złożenie hołdu pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego w Belwederze, na Rossie i na Wawelu.

Właściwy dzień święta narodowego rozpocznie się uroczystym nabożeństwem, odprawionym w świątyniach wszystkich wyznań.

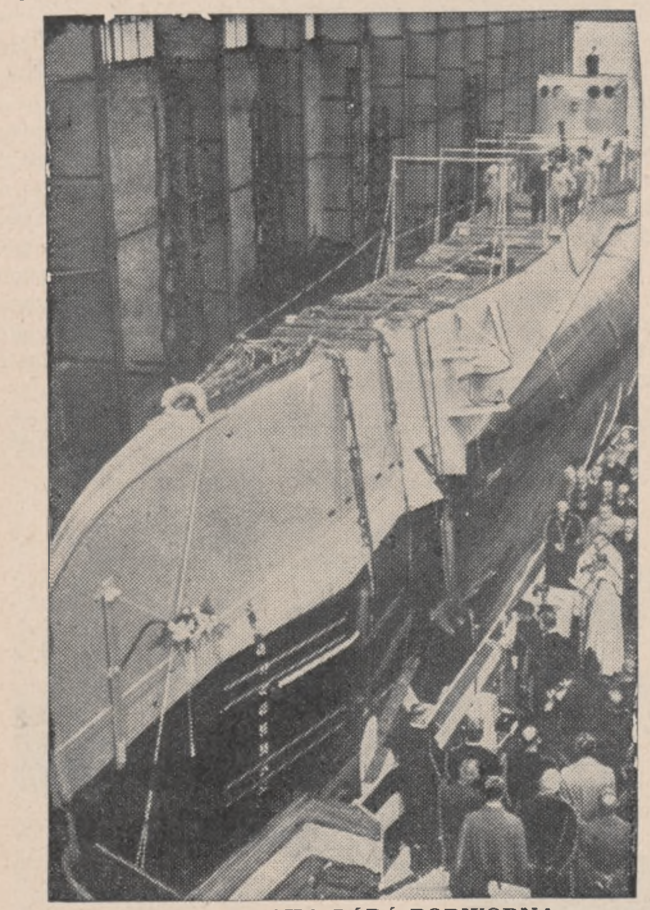
W stolicy po nabożeństwie w Katedrze odbędzie się wielka defilada wojska, w której wystąpią także oddziały Legii Akademickiej, przysposobienia wojskowego i stowarzyszeń młodzieżowych. W godzinach wieczornych żołnierze spędzą czas na specjalnie dla nich urządzonych zabawach. W obu dniach — 10 i 11 listopada Polskie Radio nada audycje dla żołnierzy, względnie korzystać będą ze specjalnych przedstawień teatralnych i kinowych.

Ze świata

Żądamy reszty Śląska bez plebiscytu.
Bijąca w oczy polskość nazw na Zaolziu czeskim.

Działacz społeczny, Wacław Naanke-Nakęski, zabrał ostatnio głos na łamach prasy, wykazując, że także reszta Zaolzia winna nam być zwrócona natychmiast przez Czechów i to **bez plebiscytu**, zupełnie niepotrzebnego wobec bijącej w oczy stuprocentowej polskości całego Śląska Cieszyńskiego aż po Ostrawicę.

P. Wacław Naanke-Nakęski wykazywał po wielekroć razy w licznych artykułach, oraz w broszurze „Spór czesko-polski na Śląsku Cieszyńskim" (Frysztat, rok 1901), opierając się na źródłach czeskich (Szafarzik, Szembera, Bartosz i in.), że cały Śląsk Cieszyński jest etnograficznie polski, jedynie koło Frydka przez kościół i szkoły zczechizowany częściowo, ale nawet w tym punkcie jeszcze w r. 1900 ludność tamtejsza wymawiała „ł" a nie „l".



NOWA POLSKA ŁÓDŹ PODWODNA
Zdjęcie przedstawia moment uroczystego poświęcenia i spuszczenia na wodę w stoczni w Rotterdamie, nowej polskiej łodzi podwodnej „Sęp". Na pierwszym planie widoczna matka chrzestna łodzi p. Babińska, małżonka posła R. P. w Hadze.

Sztaby wojskowe oznaczają nazwy miejscowości i gór zgodnie z wymową ludności danego terenu, a czynią tak ze względów praktycznych. Mapy wojskowe są więc cennym dowodem. Otóż sekcja mapy austriackiego sztabu generalnego podaje nazwy na Śląsku Cieszyńskim według wymowy ludności. Czytamy tam więc wyraźnie: Krzyżowa (nie: Krizowa, jak ją Czesi przezwali), Bukowsko, Tanecznica, Kiczera, Staszków, Kobylanka, Muchowiec, Zimna Polana, Zimny Las, Smrekowina, Wilczarnia (a nie Vlcarna), Byczyniec, Prażma, Na suche, Kotły, Równia, Krzywy, Ropica, Ropiczka, Ropicznik Wielki, Godula (tuż pod Ligotką Kameralną), Październa, Rzepiszcze (powyżej Frydka, niedaleko Ostrawicy!), Okrąglica, Psiorki, Wytyków, i t. d., i t. d.

Najwyższy szczyt w Beskidach na tej mapie wprawdzie nazwano Lysa Hora (1335 m), ale wiadomo, że język czeski nie zna przymiotnika Lysy tylko „Holy", więc jest to poprostu Łysa Góra, tak samo jak w Górach Świętokrzyskich. Następca Żyżki w wojnach husyckich Prokop nazywał się Holy, a nie Lysy!). Wreszcie dodać należy, że między Frydlandem a Starymi Hamrami wpada do Ostrawicy z lewej strony rzeczka Czeladna (obok wieś o podobnej nazwie), a więc już na Morawie.

Te prapolskie nazwy mówią najlepiej o polskości tych ziem.

Plebiscyt na tej ziemi, w części powiatu frydeckiego nie jest uzasadniony żadnymi względami. Gdyby doszło do plebiscytu, można sobie wyobrazić, że Czesi na głowie stawialiby się, byleby sprowadzić przybyszów i uzyskać sukces. Powtórzyłyby się te wszystkie podstępne chwyty tak nam dobrze znane z 20-letniego okupowania Śląska Cieszyńskiego.

I dlatego jedynym racjonalnym i słusznym wyjściem z sytuacji jest zaniechanie plebiscytu na tych odwiecznie polskich ziemiach. Cały Śląsk Zaolzański jest etnograficznie polski i do Polski musi należeć.

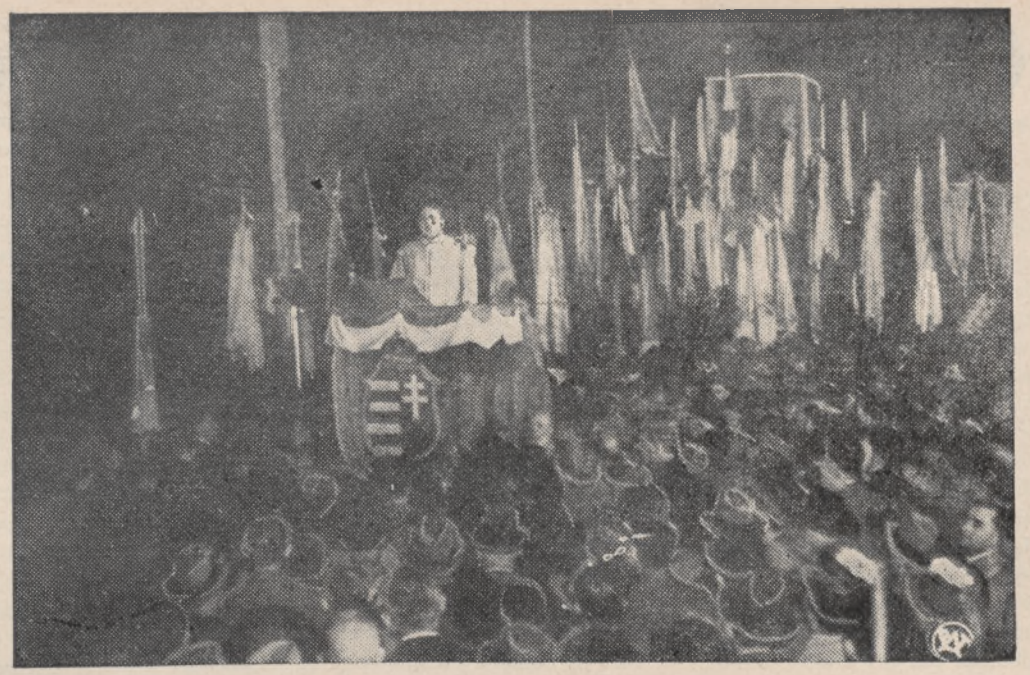
I Gdańsk chce fałszować statystykę Polaków

Za przykładem Niemiec, które w formularzu statystycznym umieściły tylko rubryki: Krwi niemieckiej, mieszaniec II stopnia, mieszaniec I stopnia i żyd, kroczy Gdańsk, który w inny łajdacki sposób chce pomniejszyć liczbę żywiołu polskiego w Gdańsku.

Władze gdańskie rozesłały w ubiegłym tygodniu wszystkim rodzinom, zamieszkałym na obszarze W. M. Gdańska formularz statystyczny, obejmujący m. in. rubrykę: wyznania i język macierzysty.

W rubryce „Muttersprache" (język macierzysty) wymieniono następujące języki: Deutsch (niemiecki), Kaschubisch (kaszubski), Polnisch (polski), Deutsch-Polnisch (niemiecko-polski), Russisch (rosyjski), Jidisch (żydowski).

Senat wprawdzie wyjaśnił, że chodzi o statystykę skarbową w celach ściśle wewnętrznych, jednakże — jak donoszą nam z Gdańska — wszyscy Polacy, mieszkający w Gdańsku, obawiają się, że statystyki tej nadużyje się do zgoła innych celów.



Żywiołowe manifestacje w Budapeszcie za wspólną granicą polsko-węgierską

Fragment z żywiołowych manifestacyj węgierskich w Budapeszcie za wspolną granicą polsko-węgierską. W czasie manifestacyj, których rozmiary nie były tam notowane od czasów wojny światowej, ludność węgierska wznosiła okrzyki na cześć Prezydenta Rzeczypospolitei prof. Mościckiego, Marszałka Śmigłego-Rydza, Ministra Becka i rządu polskiego.

Oburzenie wśród ludności polskiej panuje ogromne. Niektórzy nie oddali w ogóle tych arkuszy — inni rubrykę „Muttersprache" poskreślali jako zupełnie niepotrzebną i tendencyjnie zredagowaną.

Termin złożenia tych formularzy był niesłychanie krótki. Wydane w piątek 7 b. m. musiały być zwrócone już w poniedziałek 10 b. m.

Obserwując poczynania Senatu gdańskiego, nasuwa się w tym wypadku przypuszczenie, że formularz statystyczny ma na celu opracowanie wymiarów podatkowych, wymierzonych swym ostrzem przeciwko ludności polskiej i żydowskiej, przez zastosowanie wyższych stawek podatkowych. Dlatego też byłoby rzeczą niezmiernie wskazaną, by władze gdańskie wyjaśniły tę sprawę i na przyszłość zaniechały podobnych zarządzeń; chodzi tu bowiem o istotne interesy ludności polskiej w Gdańsku.

Niemcy o polskiej polityce zagranicznej

W korespondencji zatytułowanej „Droga Polski po kryzysie. Polityka pułkownika Becka doprowadziła do sukcesu". „Berliner Lokal-Anzeiger" zajmuje się stanowiskiem dyplomacji polskiej w ostatnich tygodniach. Zdaniem korespondenta dni, które poprzedziły decyzję Polski, wymagały od kierownictwa polskiej nawy państwowej, a zwłaszcza jej polityki zagranicznej zimnej krwi i koncentracji politycznej dla uchwycenia psychologicznego i taktycznego momentu. Należało świadomie kroczyć ku celom, aby móc przeciwstawić się jawnym i ukrytym groźbom z zewnątrz.

Co się tyczy powrotu Zaolzia do Polski, to znaczenie tego aktu politycznego, zdaniem korespondenta, leży nie tylko w powiększeniu się terytorium czy ludności polskiej, lecz w bodźcu, jaki Polska uzyskała. Należy ona do państw dynamicznych. To poczucie, które cechuje obecnie najszersze warstwy Polski, nie pozostanie bez wpływu na sytuację wewnętrzną, co również nie jest bez znaczenia wobec zbliżających się wyborów.

Ostatnia droga „pierwszego kawalerzysty Polski" pułkownika Beliny-Prażmowskiego

We czwartek 20 października b. r. odbył się w Krakowie wspaniały pogrzeb ś. p. pułkownika Beliny-Prażmowskiego. Zwłoki jego złożono w grobowcu na cmentarzu wojskowym wśród mogił żołnierskich.

Zmarły pułkownik Belina-Prażmowski, twórca kawalerii polskiej, słynnych „Beliniaków", b. wojewoda lwowski, do ostatka służył ojczyźnie ze wszech sił. Choć ciężko chory, myślał jeszcze w ostatnich dniach życia we Włoszech o walce celem wyzwolenia braci za Olzą.

Pobyt w Abbacji, znanej miejscowości kuracyjnej we Włoszech, odbił się b. korzystnie na zdrowiu ś. p. płk. Beliny-Prażmowskiego. Czuł się doskonale, odbywał długie spacery i wracał do kraju pozornie w pełni sił.

Męczyła go tylko nostalgia za krajem i chciwie uchem łowił nadchodzące z Polski wieści. Rozentuzjazmował się utworzeniem Korpusu Zaolzańskiego. Całym sercem rwał się do niego, chcąc stanąć na czele i poprowadzić go w bój o polską ziemię.

Atak w Wenecji przyszedł nagle i niespodziewanie. Wezwany lekarz zastosował zastrzyk, który chwilowo pomógł, ale w godzinę później ponowny atak przyniósł zgon.

Litewscy Budrysi znowu katują Polaków

Uparci Żmudzini kowieńscy zapomnieli widać o niedawnej nauczce, jaką im dała Polska na wiosnę b. r. Po chwilowym spokoju dochodzą nas znowu wieści zza kordonu litewskiego o brutalnym prześladowaniu Polaków przez Litwinów.

Krwawe zajścia w Poniewierzu, gdzie Litwini strzelali do młodzieży gimnazjum polskiego, skończyły się tym, że policja litewska aresztowała ofiary napadu pobitych i poranionych studentów polskich, pozwalając dalej bezkarnie hulać chuliganom litewskim.

Praca redakcyjna „Dnia Polskiego" w Kownie, jedynego pisma polskiego na Litwie, staje się coraz trudniejsza. W numerze 237 „Dzień Polski" zawiadamia, że w sobotę 15, w poniedziałek 17 i we wtorek 18 października pismo znów nie mogło się ukazać.

Równocześnie „Dzień Polski" donosi o szeregu zakazów utrudniających normalne życie społeczeństwa polskiego w Litwie.

W dniu 16 października w Kownie odbyć się miał odczyt p. Abramowicza na temat stosunków polsko-czeskich, jednakże władze odmówiły zezwolenia na wygłoszenie tej prelekcji. Na podobny odczyt odmówiono również zezwolenia w Krywańcach. Zorganizowana na sobotę 15 października zabawa taneczna p. n. „Sobótki" na Szańcach w Kownie, nie odbyła się, ponieważ odnośne władze administracyjne odmówiły zezwolenia. Jest to już drugi z kolei wypadek odmówienia zezwolenia na urządzenie zabawy, organizowanej przez świetlicę szańcowską.

Jak pisze „Dzień Polski", najgorsze jest to, że odpowiedź doręczana jest w ostatniej chwili, kiedy organizatorzy poczynili już znaczne wydatki, związane z urządzeniem zabawy.

Oko w oko z ludożercami

Niesamowita przygoda w dżungli afrykańskiej. Z niemieckiego przyswoił Stanisław Wałęga.

(Dokończenie).

Z pomocą mego przewodnika tragarzy, Bejonge, dowiedziałem się od murzyna Żaunde, że właśnie wraca z „Tawki", wsi Maka, śmiertelnych wrogów jego ludu. „Murzyni ze szczepu Maka" — poinformował nas — „przedsięwzięli znowu łupieżczą wyprawę do kraju swych sąsiadów Żaundów, aby zdobyć sobie nowy zapas ludzkiego mięsa i między innymi porwali i uprowadzili z sobą dziewczynę żaundzką, która była jego narzeczoną. Jutro rano" — opowiadał dalej — „ma przybyć do wsi Tawka czarownik, aby ofiary zabić podług pewnego przyjętego rytuału. On sam próbował dostać się do chaty, w której znajdowały się branki żaundzkie w liczbie siedmiu. Są one jednak tak silnie strzeżone, że niemożliwym jest je uratować, jeśli się nie chce przy tym narazić samego siebie na śmierć lub niewolę. To też wolał zawrócić i obecnie jest w drodze do swej wsi. Nie uda mu się już jednak przyprowadzić pomocy na czas z rodzinnej wsi, gdyż odległość obu wsi od siebie jest zbyt wielka!"

Zapytałem się go przez Bejonge, czy zna tę okolicę? Gdy skwapliwie to potwierdził, kazałem mu powiedzieć, żeby się nie martwił, gdyż zajmę się tą sprawą jak należy. On zaś niech nam wskaże takie miejsce, gdziebyśmy bezpiecznie mogli rozbić obóz i skąd moglibyśmy następnego dnia przybyć w samą porę do wsi murzynów Maka. Ucieszony tym moim zapewnieniem poprowadził nas murzyn Żaunde pewnie przez gąszczan. W pół godziny później znaleźliśmy miejsce dogodne na rozbicie obozu i rozpostarliśmy nasze namioty.

Zaledwie pozostałem sam na sam z Schultzem, gdy ów zaczął mi z miejsca robić gwałtowne wyrzuty i wymówki, że bez pytania się go o zdanie, wchodzę w umowy i przedsiębiorę awanturnicze plany, na które on się zgodzić nie może. Odpowiedziałem mu na to, że wszystko co przedsiębiorę i co planuję na jutro, dotyczy tylko mnie samego. On zaś może pozostać przez ten czas tu w obozie, albo też w międzyczasie pomaszerować naprzód ze swymi ludźmi, a ja go później z mymi ludźmi dogonię. Ostatecznie, gdyby mu ani to, ani to nie odpowiadało, może przecież zawsze wrócić z powrotem do Żaunde. Zły byłem na siebie, że go wziąłem z sobą na tę wyprawę. Nie podobała mi się jego tchórzliwa natura. Tchórzostwo białego człowieka mogło zaraźliwie podziałać także na czarnych służących.

Wezwałem do siebie przewodnika moich tragarzy, Bejonge i zarządziłem, aby moi tragarze wzięli karabiny i przynieśli je do mnie. Większość moich tragarzy służyła w wojskach kolonialnych, więc mogłem śmiało na nich polegać. Oglądnąłem przyniesione karabiny, dałem każdemu z mych ludzi po 10 naboi i przykazałem surowo, aby nie ważyli się strzelać bez mego rozkazu. Załatwiwszy to, udałem się do mego namiotu, aby w związku z planowaną na jutro wyprawą iść wcześniej spać, zaraz po kolacji. — Jak się później dowiedziałem, przesiedział Schultze ze swymi tragarzami całą noc przy ognisku, nie wydawszy żadnych zarządzeń.

O godzinie piątej rano przyszedł mój kucharz, by mnie obudzić. Tragarze podjęli już z ziemi swe ciężary, umocowawszy swe karabiny w ten sposób na bagażach, aby je mogli szybko odczepić i wziąć w rękę. Jeszcze raz usiłował mię Schultze odwieść od tego, abym z powodu paru bab murzyńskich — jak się wyraził — wciągał jego i siebie w największe niebezpieczeństwo. Widząc jednak, że decyzji swej nie zmienię, cofnął się do swych tragarzy i po chwili namysłu, ruszył w ślad za nami. Tuż przed wsią próbowałem znowu przemówić do niego, by go podnieść na duchu i wlać mu trochę odwagi, lecz nadaremnie.

Wkrótce ujrzeliśmy wieś „Tawkę". Na lewo i na prawo od dużego, czystego placu, szerokiego na jakieś 12 metrów, a długiego mniej więcej 100 metrów, stały bambusowe chaty tubylców. Na skraju tego placu naprzeciw nas widać było dom palaweru (budynek sądowy), zaś przed nim szeroką platformę z gliny. Naokoło niej stało co najmniej 300 dzikusów Maka, mężczyzn i kobiet. Na samej platformie stali wódz plemienia i czarownik, przybrany w fantastyczny płaszcz z piór i maskę taneczną. Oczy wszystkich i cała uwaga skierowane były ku platformie i na czarownika. Nas nikt nie zauważył.

Czarownik zdawał się mieć jakąś przemowę do tłumu. Ofiary, dziewczęta żaundzkie w wieku od 12 do 18 lat, stały spętane przed nim po jego prawicy i lewicy. Naraz czarownik przestał mówić i zwrócił się ku ofiarom. Kilka podrygów tanecznych, kilka śpiewnych słów, i — zanim mogłem wydać z siebie jakiś dźwięk — spadła z zamachem jego maczuga w dół. Dał się słyszeć głuchy odgłos uderzenia i — jedna z nieszczęsnych ofiar zwaliła się martwa na ziemię.

„Kaii!" (Nie!) — ryknąłem z całych sił. Wrażenie mojego nieoczekiwanego krzyku było piorunujące. Cała tłuszcza, skupiona przy platformie, odwróciła się nagle ku nam. Złowrogi pomruk przeleciał szeregi ludożerczych Maka, gdy zobaczyli nieoczekiwanych intruzów, którzy śmieli się wedrzeć w sam środek wsi i zamącić rytualny obrzęd ludożerstwa. Wiedziałem, co nam grozi. Rzuciwszy wzrokiem szybko poza siebie, zobaczyłem moich tragarzy, stojących tuż za mną. Jakże się ucieszyłem, gdy zobaczyłem, że Schultze też, jakby otrząsnął się z swego dotychczasowego lęku, stał niedaleko ode mnie. Krzyknąłem na mego kucharza, aby powiedział czarownikowi, że nakazuję mu zwrócić wolność dziewczętom żaundzkim. Zaledwie kucharz zdążył Makasom wyjaśnić w ich języku po co do ich wsi przyszliśmy, gdy podniósł się potworny ryk wściekłości w ich szeregach. Czarownik zaczął wygrażać nam swą maczugą, a niektórzy z Makasów znikli w swych chatach, wracając z powrotem z mieczami i oszczepami w rękach. Sytuacja stawała się coraz groźniejszą. Zwolna na skutek wołań czarownika zapanował znowu spokój w ciżbie, zgromadzonej wokół platformy. Sam czarownik ku naszemu zdziwieniu, zaczął z powrotem, jakby nigdy nic, swój rytualny, ponury śpiew. Prawdopodobnie chciał on nas wystawić na próbę. Miała to być próba sił między nami, gdyż czarownik uchodzi w oczach swych ludzi za „charakternika", czyli człowieka, którego się ani kule, ani strzały nie imają. Sam czarownik, rozumie się, wiedział, że jest człowiekiem tak samo możliwym do zranienia, jak każdy inny, liczył jednak zdaje się na to, że, strzelając w podnieceniu z dość dużej odległości, chybię i kula pójdzie bokiem, przez co wzmocni swój autorytet u dzikich, gdyż słusznie mógł kombinować, że nie będę miał czasu złożyć się drugi raz do niego. Ludożercy zdawali się znowu nie zwracać na nas uwagi i wszystko wskazywało na to, że będą chcieli dokończyć rozpoczętego mordu rytualnego i krwawej uczty ludożerczej. Pod wtór „griotów" walących głucho w bębny, rozpoczęły się dzikie tańce krwiożercze mężczyzn i kobiet. Te ostatnie zdawały się zatracać resztki kobiecości. W swym ohydnym bezwstydzie i wyuzdaniu dochodziły wprost do szału — podniecone ogólną gorączkową atmosferą, podobne były w tej chwili więcej do upiorów i czarownic, niż do istot ludzkich. W tym istnym pandemonium i piekielnym sabacie czarownic jaki mieliśmy

teraz przed oczyma — tylko w najbliższym sąsiedztwie nieszczęśliwych ofiar, w środku platformy, było niesamowicie cicho. Naraz podniósł się z godnością wódz Makasów, ujął jedną z drżących na całym ciele, przerażonych śmiertelnie dziewcząt i poprowadził ją przed czarownika. Ten cofnął się nieco w tył i wygłosił, podobnie jak przy pierwszej ofierze, dłuższe przemówienie. Teraz nie miałem już co dłużej czekać, gdyż ceremonia, która miała potem nastąpić, była, jak już wspomniałem, zbyt krótka, aby można było coś przedsięwziąć. Podniosłem więc zwolna swą strzelbę i wycelowawszy, strzeliłem w tej właśnie chwili, gdy czarodziej zwrócił ku mnie swe oblicze, zakryte potworną maską. Śmiertelnie raniony, runął czarownik na ziemię.

Gdy Makasi ujrzeli padającego czarownika, stracili głowę i z dzikim rykiem przestrachu rozbiegli się na wsze strony, pozostawiając pojmane dziewczęta na platformie. Moi tragarze, widząc, że się składam do strzału, podnieśli także swoje karabiny. Zauważyłem tylko brak Schultzego i jego ludzi. Znikli jak kamfora. Mój kucharz, widząc, że szukam Schultzego, powiedział krótko: „He run" (on uciekł). Ponieważ dziewczęta pojmane, pomimo naszych wezwań i krzyków, nie chciały do nas przyjść, posłałem ich ziomka murzyna Żaunde i czterech moich tragarzy, aby je przyprowadzili. Długo nie mogliśmy tu pozostawać. Gdyby Makasi ochłonęli z pierwszego przerażenia, mogło być źle z nami, zwłaszcza że byliśmy teraz słabsi liczebnie wskutek haniebnej ucieczki Schultzego. Kazałem tragarzom podjąć ciężary i rozpoczęliśmy odwrót tak szybko jak to tylko było możliwe. Biedne czarne ofiary nie mogły zrazu pojąć co zaszło, tak były oszołomione tym wszystkim. Dopiero dużo później zrozumiały, że cudem wprost uniknęły niechybnej śmierci. Ich rodak, murzyn Żaunde i mój przewodnik Bejonge mieli dużo trudu, aby im przedstawić możliwie zrozumiale wszystkie okoliczności ich cudownego ocalenia. Wówczas wśród śmiechów i paplanin popłynęły z oczu ich łzy obficiej, niż to się widzi zazwyczaj u tych dzieci natury. W czasie naszego powrotnego marszu do Żaunde przychodziły codziennie do mnie, by mi podziękować za swe ocalenie. Makasi nie ważyli się nas ścigać na terytorium wrogów swych z plemienia Żaunde. Schultzego nie udało się nam nigdzie spotkać.

Dzień drogi przed stolicą kolonii, miastem Żaunde spotkałem sędziwego misjonarza, poczciwego ojca Piotra, który mię przywitał tymi słowy: „Właściwie nie powinienem panu podać ręki, gdyż Schultze oskarżył pana wczoraj w Żaunde o morderstwo". Śmiech poczciwego starca był dla mnie najlepszą rękojmią, że nie wierzył oszczerstwu Schultzego. Natychmiast po przybyciu do stacji Żaunde, złożyłem meldunek o wypadku. Rezultat był ten, że kapitan Rochefort napierał teraz energicznie na gubernatora kolonii, aby jednak wreszcie raz wysłać ekspedycję karną do kraju dzikich Makasów i wytępić tkwiący jeszcze wśród nich kanibalizm. Schultzego chciał kapitan Rochefort pociągnąć do odpowiedzialności za tchórzliwe porzucenie mię w chwili niebezpieczeństwa, a zwłaszcza za złożenie przeciwko mnie fałszywych oszczerczych zeznań. Okazało się, że Schultze zwiał z Żaunde tuż przed moim przybyciem. Słyszałem jeszcze o nim później, że pomaszerował z swymi ludźmi ku wybrzeżu, gdzie wsiadł zaraz na okręt odpływający do Europy. Jednak w czasie podróży został opadnięty przez manię prześladowczą i wkrótce potem zmarł. Uwolnione dziewczęta Żaundów przekazałem władzom wojskowym w mieście Żaunde, skąd je następnie zabrały ich rodziny.

Kronika organizacyjna

Związek Strzelecki

Jesienne Zawody Strzeleckie pow. bydgoskiego

Uroczyste zakończenie sezonu strzelecko-łucznego powiatu bydgoskiego odbyło się w ramach Jesiennych Zawodów Strzelecko-Łucznych zorganizowanych przez Powiatową Komendę Zw. Strzeleckiego. Uroczystego otwarcia zawodów na strzelnicy małokalibrowej w Bydgoszczy w dn. 16 paźdz. dokonał Powiatowy Komendant WF. i PW. i ZS. por. Środziński Stanisław, witając z górą 30 zespołów strzeleckich z powiatu.

W konkurencji z broni małokalibrowej kbks. 7 zwyciężył zespół PW. Leśników — Jachcice, osiągając 276 pkt., II m. zespół PPW. — Fordon pkt. 273, III m. zespół podofic. Rez. — Fordon pkt. 273.

Indyw. zwyciężył Pan Rosiński Paweł z Podofic. Rez. — Fordon pkt. 96, II m. — pan Bolech Henryk z PW. L. Jachcice — pkt. 95, III m. — pan Śpiewakowski Maksymilian z PPW. — Fordon pkt. 94.

Z broni wojskowej konk. 2 a zwyciężył zespół Zw. Rez. — Wtelno pkt. 111, II m. — zespół Z. Rez.



UCZCZENIE PAMIĘCI GEN. KAZIMIERZA PUŁASKIEGO
Z okazji 159-ej rocznicy śmierci bohatera Polski i Ameryki gen. Kazimierza Pułaskiego, przedstawiciel Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Waszyngtonie, p. Michał Budny, złożył wieniec pod pomnikiem gen. Pułaskiego. Moment ten przedstawia nasze zdjęcie.

Trzemiętowo pkt. 86, III m. — zespół Zw. Podof. Rez. Fordon pkt. 70. Indywidualnie pan Rybka Józef PPW. — Fordon 48 pkt., II m. pan Kaczmarek Marian Z. R. Trzemiętowo pkt. 44.

Startujący poza konkurencją zespół żeński Sokoła Fordon osiągnął pkt. 212.

Indywidualnie pani Rosińska Aniela — Sokół Fordon pkt. 76.

Sędziował sprawnie sędzia strzel.-łuczny por. Frankowski Edward.

Kolejowe Przysposobienie Wojskowe

Najmłodsza parafia diecezji chełmińskiej.
W Laskowicach położono zręby pod budowę przyszłego kościoła i dokonano poświęcenia tymczasowej kaplicy dzięki ofiarności pracowników kolejowych.

(Korespondencja własna).

Cicha wioska, leżąca w samym sercu Pomorza, na skrzyżowaniu wielkiego węzła kolejowego, przeżyła ubiegłej niedzieli niepowszednią uroczystość. Oto w Laskowicach położono zręby pod budowę przyszłego kościoła i dokonano poświęcenia nowej parafii. Stało się to za sprawą świata pracowników kolejowych toruńskiej dyrekcji kolejowej. Dotychczas bowiem mieszkańcy Laskowic, którzy w przeważnej mierze składają się z pracowników kolejowych, jak również mieszkańcy pobliskich wiosek, musieli chodzić do kościoła, oddalonego o kilka kilometrów. Ubiegłej niedzieli zapoczątkowano zbożne dzieło. Dzięki przychylnemu potraktowaniu gorących życzeń ludności miejscowej przez kurię biskupią w Pelplinie i dzięki ofiarności pracowników kolejowych, zorganizowanych w Kolejowym Przysposobieniu Wojskowym, Laskowice stają się parafią.

Ceremonii poświęcenia tymczasowej kaplicy dokonał ks. biskup Dominik. Dostojnego Gościa powitał na dworcu Zarząd K. P. W. z prezesem komandorem Kłossowskim na czele, oraz orkiestra K. P. W. z Bydgoszczy. Dostojny Gość przeszedł następnie przed frontem honorowego oddziału K. P. W. udając się do kaplicy, gdzie już czekały tłumy wiernych, wznosząc na cześć Arcypasterza entuzjastyczne okrzyki. Mała dziewczynka w bieli wyrecytowała wierszyk powitalny, wręczając dostojnemu Gościowi wiązankę kwiatów. U stóp ołtarza powitał ks. Biskupa ks. kurator Szczepański.

O godz. 9,30 rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo, celebrowane przez Dostojnego Pasterza. Po skończonej Mszy Św. uformowała się z wiernych procesja, którą poprowadził Arcypasterz w kierunku cmentarza, celem jego poświęcenia. Cała trasa była wspaniale udekorowana bramami powitalnymi oraz chorągwiami o barwach narodowych i kościelnych. Okna domów mieszkalnych gustownie przystrojone dywanami, kwieciem i chorągiewkami.

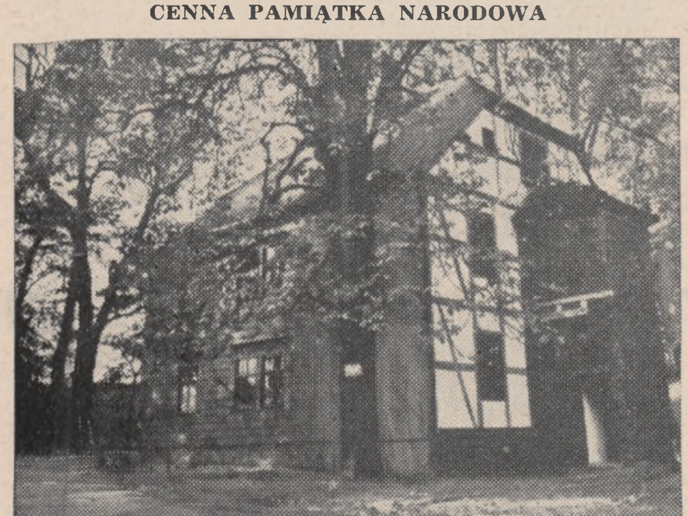
Na cmentarzu ks. Biskup wygłosił do zebranych piękne przemówienie na temat znaczenia symbolu krzyża, po czym dokonał ceremoniału poświęcenia cmentarza i krzyża cmentarnego.

Po tej uroczystości odbyła się w sali dworca kolejowego akademia, którą zagaił prezes, komandor Kłossowski, dziękując ks. Biskupowi za przybycie i w wymownych słowach podkreślając rolę kościoła w życiu Narodu Polskiego. Nie było chwili radosnej, czy smutnej — ciągnie mówca — ażeby kościół nie odegrał w życiu naszego Narodu doniosłej roli. Przypomnijmy sobie, cośmy niedawno przeżyli. W tych tragicznych chwilach kościół był z nami, a my z nim“. Nastrojowe to przemówienie a pełne szczerej prostoty wywołało wśród zebranych rzęsiste oklaski. Pięknie przemówił następnie ks. kurator Szczepański, przypominając zasługi K. P. W. i jej prezesa około dokonania tego zbożnego dzieła, którego jesteśmy świadkami. Przypomina fakt, że kolejarze na Pomorzu inicjują i dopomagają w budowie trzeciego już kościoła. W mocnych słowach przemówił następnie starosta powiatu świeckiego p. mgr. Cwinarowicz i na końcu, ks. Biskup Dominik zsumował wspaniałe wyniki prac szarej braci kolejowej i wyraził nadzieję, że krok za krokiem a dzieło Boże będzie dokonane.

Obiadem żołnierskim zakończyły się uroczystości laskowickie. Na zakończenie należy podkreślić niezwykłą ofiarność kolejarzy węzła laskowickiego, którzy własnym sumptem sprawili wiele przedmiotów kultu kościelnego, wieczorami niwelowali plac pod przyszły cmentarz, wznieśli na nim krzyż kilkumetrowej wysokości, a w pracy tej nie ustawali, zawiadowca stacji p. Hildebrandt Maksymilian i zawiadowca odcinka drogowego p. Stroiński Paweł.

Kolejowe Przysposobienie Wojskowe, użyczając budynku na cele tymczasowej kaplicy, a Zarząd Kolejowy dając bezpłatnie plac pod kościół, świat pracowniczy dyrekcji kolejowej podejmując wielkie dzieło budowy świątyni w Laskowicach — dał świadectwo nie tylko swego przywiązania do najwyższych wartości duchowych, ale jednocześnie zadokumentował swą organizacyjną spoistość, swe wysokie obywatelskie nastawienie w rzeczach, które stanowią o wielkości społeczeństwa i Narodu.

CENNA PAMIĄTKA NARODOWA



W pięknych ogrodach Pałacu Belwederskiego został ustawiony t. zw. Domek Komendanta z Magdeburga, ofiarowany narodowi polskiemu przez Zarząd Miejski w Magdeburgu. Domek ten stanowił w 1918 roku znane więzienie Komendanta Józefa Piłsudskiego. Dziś jako cenna pamiątka narodowa, domek ten w stanie w jakim był w roku 1918, jest symbolem naszego kultu dla bohaterskiego życia Marszałka Józefa Piłsudskiego.

JAROSZ II-GO STOPNIA

— Jakto, jesteś jaroszem, a jesz befsztyk?

— Bo ja, widzisz, jestem jaroszem II-go stopnia, jadam mięso tylko z takich zwierząt, co jadają rośliny.

DZIAŁ KOBIECY

SPACERY, A MŁODOŚĆ KOBIET

„Mam biegać — zapyta się pani domu — ależ biegam cały dzień po domu, kuchni, piwnicach, schodach... więcej już doprawdy biegać nie mogę“. I rzeczywiście, niejedna pani domu przechodzi przez dzień kilka kilometrów, ale to nie o takie bieganie chodzi. Mowa tu o chodzeniu po powietrzu, przechadzkach, które nie powinny być tylko przywilejem młodych, ale które należą do wszystkich. Takie chodzenie jest zupełnie czymś innym, niż „bieganie“ przy gospodarstwie. Jest to konieczna wymiana. Otwórzmy tylko szeroko nasze oczy, iluż to mężczyzn pracujących ciężko zawodowo, uprawia jeszcze po pracy sport. Jednym słowem: po pracy wędrówki, nieco sportu, ruch na świeżym powietrzu. W taki sposób starość nie pojawi się tak szybko, kobieta dłużej pozostanie młodą i zgrabną.

Oczywiście nie należy rozpoczynać tej walki ze starością zbyt długimi marszami, powoli trzeba się przyzwyczajać do spacerów, aż z czasem wyrobi się w nas chęć i umiejętność do dłuższych przechadzek i marszów.

Gdzie spacerować? Nie trudno na to odpowiedzieć. Wszędzie są ogrody, parki, drogi wysadzone drzewami, lasy. Im więcej się chodzi, tym zdrowiej dla kobiety, i to chodzenie zastępuje jej sport, czyni ją zdrową i odporną na wszystkie przeziębienia, i zmiany temperatury.

Kobieta pozostająca chętnie w domu, lękająca się zimna, wiatru czy śniegu, obawiająca się deszczu, starzeje się nader szybko. Pamiętajmy o tym, i ciężkiej pracy w domu przeciwstawmy wędrówki i marsze. To co nam nadwyrężała w naszym organiźmie praca przy kuchni i gospodarstwie, to stanie przy prasowaniu i siedzenie przy cerowaniu pończoch, niechaj naprawi marsz w przestrzeń. Niechaj i nasze płuca zaczerpną na równi z innymi świeżego powietrza, wolnego od dymu z kopcącego się pieca i od zapachów kuchennych.

KRÓLOWA ANGIELSKA W SZPITALU DZIECIĘCYM



Królowa Anglii Elżbieta prowadzi szeroką akcję humanitarną wśród biednych i chorych dzieci angielskich. Ostatnio w towarzystwie króla odwiedziła jeden ze szpitali dziecięcych, w którym rozdała chorym małym pensjonariuszom wiele podarków.
Na zdjęciu — królowa Elżbieta w rozmowie z chorymi dziećmi.

STACJA KROPLI MLEKA PRZY TOWARZYSTWIE „OSIEDLE”



W tych dniach odbyło się w Warszawie przy ul. Radzymińskiej, w obecności Pani Marszałkowej Aleksandry Piłsudskiej, otwarcie nowej stacji „Kropli Mleka”, zorganizowanej staraniem Towarzystwa „Osiedle”.
Na zdjęciu — Pani Marszałkowa Piłsudska wśród matek i dzieci, w nowootwartej stacji „Kropli Mleka”.

CZY KOBIETA MOŻE STAĆ SIĘ PIĘKNĄ?

W Anglii bawi obecnie słynny charakteryzator z Hollywood Ernest Westmore, którego główny obowiązek polega na upiększaniu amerykańskich artystek filmowych. Interpelowany przez londyńskich dziennikarzy, podał im kilka szczegółów odnoszących się do swej profesji:

— Jest tylko złudzeniem, żeby w Hollywood znajdowało się więcej piękności, niż gdzieindziej na świecie. Kinematograf posiada swoje tajemnice, z którymi trzeba się dobrze obeznać, a wtedy można stwarzać istne cuda. Zapewne, są brzydactwa, mające tak szpetne rysy, że żadna szminka im nie pomoże. Ale przeważnie niemal każda młoda kobieta posiada pewien urok, pewne osobliwości twarzy, które można i należy odpowiednio wyzyskać, a wtedy osiąga się wprost zdumiewające wyniki.

Tak n. p. Gloria Swanson z natury bynajmniej piękną nie jest. Zbyt wyrazisty nos ją szpeci, ale ma bardzo ładne usta i przedziwny uśmiech. Ucharakteryzowana przeze mnie, staje się piękną; nos jakby znika, dostosowany do ogółu twarzy.

Podobnie — nikt by się nie zachwycił Marleną Dietrich, z powodu jej wystających kości policzkowych. Trzeba umieć zatuszować je tak, żeby niemal zupełnie zanikły.

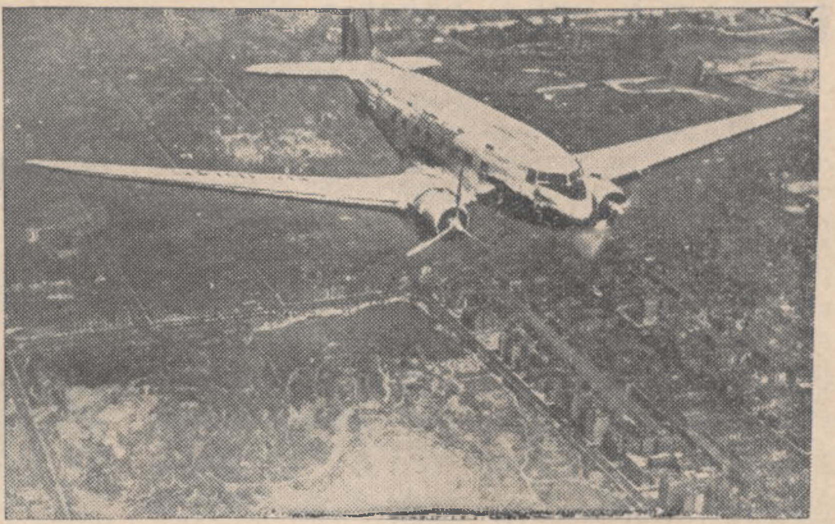
Karola Lombard ma piękne i mądre oczy. Ten jeden szczegół wystarcza, żeby uczynić z niej piękność na ekranie. Podobnie rzecz się ma z Gretą Garbo.

Zupełnie prawidłowe rysy ma może tylko Ginger Rodgers, ale trzeba je umieć podkreślić, n. p. przez odpowiednie uczesanie.

Zajmujący wywiad zakończył Westmore uwagą:

— Nie należy małpować innych, ale przede wszystkim starać się utrzymać indywidualność. W domu trzeba przestudiować swe rysy i podkreślić to, co w nich jest pięknego. Po pewnej wprawie, niemal każda kobieta może stać się czarująca, ale nie przychodzi to łatwo.

L.O.P.P.



NOWOCZESNA TECHNIKA NA USŁUGACH LOTNICTWA
Nowoczesne samoloty komunikacyjne nie tylko są wyposażone we wszystkie znane instrumenty i przyrządy, ułatwiające kontrolę sprzętu i nawigację, lecz przede wszystkim osiągnęły znaczny stopień bezpieczeństwa, dzięki możliwości lotu i wznoszeniu się przy połowie tylko działających zespołów napędowych.
Na zdjęciu widzimy samolot typu Douglas DC 3, w locie na jednym silniku. Te same właściwości mają również wszystkie samoloty „LOTU".

KOMUNIKAT PRASOWY O KATASTROFIE „GWIAZDY POLSKI"

Komitet Organizacyjny I-go Polskiego Lotu Stratosferycznego po przeprowadzeniu wstępnych badań i po wysłuchaniu fachowców obecnych przy wypadku w Dolinie Chochołowskiej z p. mjr. Stevensem włącznie stwierdził, co następuje:

1) Zarówno przy napełnianiu balonu jak i przy jego opróżnianiu nie było żadnych uchybień technicznych.

2) Użycie rozrywacza przy opróżnianiu balonu nie dawało większej gwarancji bezpieczeństwa niż wypuszczenie wodoru przez klapę.

3) Polana Chochołowska okazała się miejscem najzupełniej odpowiednim do startu balonu stratosferycznego.

4) Przy napełnianiu i opróżnianiu balonu z wodoru zastosowane były wszelkie środki ostrożności.

Również wykluczone było zaprószenie ognia.

Zapalenie wodoru spowodowało wyładowanie elektryczności statycznej w okolicy klapy balonu. Powstanie ładunków elektrycznych i ich wyładowanie jest przedmiotem badań fachowców.

Istnieje kilka hipotez, które po ukończeniu badań zostaną ogłoszone.

5) Z tytułu spalenia się części powłoki balonu Komitet nie poniósł najmniejszych strat, bowiem powłoka z gondolą i przyrządami była ubezpieczona od ognia na sumę zł 277.000,—, t. j. na pełną swą wartość.

6) Uszkodzona część powłoki będzie w ciągu najbliższych tygodni zastąpiona nową i będzie gotowa do startu balonu.

Gondola oraz wszystkie przyrządy nawigacyjne i naukowe nie uległy najmniejszemu uszkodzeniu.

SZYBOWNICTWO W NIEMCZECH

19-ty kurs szybowcowy w Röhn (Wasserkuppe), zorganizowany w dn. 24 lipca — 7 sierpnia przez dowództwo niemieckiego korpusu lotniczego narodowosocjalistycznego (NSFK), dał bardzo ciekawe wyniki. 56 uczestników niemieckich dokonało 1300 lotów na przestrzeni około 75.000 km w ciągu 2750 godzin, co wynosi przeciętnie na każdego uczestnika średnią 1500 km w ciągu 14 dni. Został pobity wielokrotnie rekord światowy wysokości dla szybowców, ostatecznie — przez kapitana Drechsela z Deutsche Luft Hansa, który osiągnął wysokość 7070 m ponad poziomem morza, a 6130 m ponad punktem startu. Poza tym dokonano 160 lotów docelowych, 5 — na odległość 400 km, 27 — ponad 300 km, 51 — ponad 200 km. Niestety nie obeszło się bez nieszczęśliwych wypadków, między innymi podoficer Bloch, który osiągnął wysokość 5400 m na szybowcu bez ogona typu Horten III, wpadł w burzę i zabił się, skacząc ze spadochronem. Konstruktor tego szybowca student Reimar Horten otrzymał nagrodę Otto Lilienthala w wysokości 5000 RM. Zwycięzcą w kategorii A (jednomiejscowych) został Wolfgang Späte, z niemieckiego instytutu badań szybowcowych w Darmstadt; otrzymał on jednocześnie odznakę honorową za najdłuższy lot docelowy na 445 km. W kategorii B (dwumiejscowych) pierwsze miejsce zajęła załoga Romeis-Schillinger.

Trzeba iść do urny wyborczej w poczuciu obowiązku patriotycznego

ks. kard. Prymas Hlond

SPORT

ROZGRYWKI PIŁKARSKIE NA POMORZU

W niedzielę 23 października b. r. na boisku miejskim w Toruniu rozegrany został mecz piłkarski o mistrzostwo Pomorza pomiędzy Polonią (Bydgoszcz) i Pomorzaninem (Toruń). Mecz zakończył się niespodziewanym lecz zasłużonym zwycięstwem gospodarzy w stosunku 4:0 (3:0). Sędziował p. Cichaczewski z Grudziądza. Zainteresowanie duże.

W tym samym dniu w Tczewie „Gryf" (Toruń) rozegrał mecz piłkarski o mistrzostwo Pomorza z miejscową drużyną KPW. „Unia". Gra otwarta i wyrównana toczyła się ze zmiennym szczęściem, którego jednak tak jedna jak i druga strona nie potrafiła wykorzystać. Mecz zakończył się wynikiem bezbramkowym 0:0. Sędziował p. Rakowski z Gdyni.

TURNIEJ PIŁKARSKI O MISTRZOSTWO SZKÓŁ ŚREDNICH

W dalszym ciągu turnieju piłkarskiego o mistrzostwo szkół średnich m. Torunia gimnazjum im. Kopernika pokonało gimnazjum Kupieckie 2:1 (0:1), Liceum Budowlane wygrało z Liceum Handlowym 4:0 (1:0) i wreszcie Liceum Budowlane wygrało z gimnazjum im. Kopernika 4:1 (3:0).

Na pierwsze miejsce wysunęła się drużyna Liceum Budowlanego, która ma zapewnione pierwsze miejsce. Na dalszych miejscach znajdą się prawdopodobnie: gimnazjum im. Kopernika (filia), gimnazjum Kupieckie, gimnazjum im. Kopernika i Liceum Handlowe.

W niedzielę 23 października b. r. odbył się w Grudziądzu na boisku miejskim finał meczu piłkarskiego o mistrzostwo szkół średnich miasta Grudziądza pomiędzy SKS. Orlęta i SKS. Mechanik. Mistrzostwo zdobyły „Orlęta", bijąc „Mechanika" w stosunku 3:2 (0:2). W rozgrywce o trzecie i 4-te miejsce gimnazjum im. Goethego pokonało gimnazjum Klasyczne 1:0 (1:0). Sędziował prof. Malanowski.

TURF.

W dalszym ciągu wyścigów konnych w Grudziądzu, zorganizowanych przez Pomorskie Towarzystwo Zachęty do hodowli koni na torze wyścigowym Centrum Wyszkolenia Kawalerii odbyła się w niedzielę 23 października jako pierwsza gonitwa dżentelmeńska na dystansie 4.200 m o nagrodę 600 złotych: Pierwsze miejsce zdobył por. Wojnarowicz na „Igorze II", 2) rtm. Rybicki na „Ottawie", 3) rtm. Rojcewicz na „Discretion".

W biegu na przełaj im. Centrum Wyszkolenia Kawalerii na dystansie 6.000 m o nagrodę 700 zł zwyciężył por. Wołkowicz na koniu „Żart", 2) por. Orpiszewski na „Cenzusie", 3) ppor. Koziełł-Poklewski na „Deblinie".

Gonitwa trzecia, płoty dżentelmeńskie, dystans 2.800 m o nagrodę 600 zł: 1) por. Szmigero na „Krynicy II", 2) por. Wołkowicz na koniu „Harrietta", 3) p. Miklewski na „Hasanie beju".

Gonitwa czwarta. Wojskowy bieg z przeszkodami na dystansie 4.200 m o nagrodę 700 zł: 1) por. Wołkowicz na koniu „Droga II", 2) rtm. Lewandowicz na „Rusałce", 3) por. Kędzierski na „Cepie".

Z RINGU POMORSKIEGO

W Tczewie odbyło się spotkanie towarzyskie pomiędzy drużynami bokserskimi Gedanii (z Gdańska) i tczewskiego Sokoła. Mecz zakończył się wynikiem remisowym 8:8.

Wyniki poszczególnych walk były następujące:

Waga musza — Cesarz (Sokół Tczew) uzyskał 2 punkty walkowerem z powodu niestawienia się przeciwnika ze strony Gedanii.

Waga kogucia — Saks (Tczew) przegrał na punkty z Muellerem.

Waga piórkowa I. — Skierka (Tczew) zremisował ze znanym zawodnikiem Gedanii — Biangą.

Waga piórkowa II. — Gendziusz (Tczew) zremisował z Zielińskim.

Waga lekka — Hirsz (Gedania) zwyciężył w drugiej rundzie na skutek dyskwalifikacji Predela.

Waga półśrednia — Plichta (Gedania) zwyciężył walkowerem z powodu nadwagi Landowskiego.

Waga średnia — Kwiatkowski (Tczew) pokonał na punkty Hanskego.

Waga półciężka — Słoboda (Tczew) pokonał na punkty Chistowskiego.

W ringu sędziował p. Lewicki z Torunia, na punkty p. Rudolf z Gdańska i prof. Obst z Tczewa.

ZAMKNIĘCIE SEZONU SPORTÓW WODNYCH W TORUNIU

W niedzielę 23 października b. r. odbyło się w Toruniu uroczyste zamknięcie sezonu sportów wodnych. Po nabożeństwie w bazylice św. Jana uczestnicy przeszli do ośrodka sportów wodnych, gdzie p. Wojciechowski, wiceprezes Klubu Kajakowców w imieniu międzyklubowego komitetu sportów wodnych po krótkim przemówieniu dokonał opuszczenia bander, zamykając oficjalnie sezon.

DR LEON WOLF U PANA PREZYDENTA RZPLITEJ



Moment audiencji starosty frysztackiego dr. Wolfa u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

P. Prezydent Rzeczypospolitej prof. dr Ignacy Mościcki przyjął na audiencji starostę frysztackiego dr. Leona Wolfa, b. posła, reprezentującego ludność polską Zaolzia w parlamencie praskim, niestrudzonego bojownika o ponowne złączenie z Macierzą piastowskich ziem Śląska Cieszyńskiego.

Kobieta-obywatelka zna swoje obowiązki obywatelskie i głosuje!!



MOTOCYKL

Dramat w 16-tu ogłoszeniach

1.

Motocyklista poszukuje na tylne siedzenie swojej maszyny partnerki, niezależnej, skromnej, pięknej, złotowłosej dziewczyny, lat około 20-tu. Jestem dobrze sytuowany, kawaler, przystojny, lat 30. Listy możliwie z fotografią pod „Nie żenię się".

2.

„Nie żenię się" ma list od „Złotowłosego dziewczęcia". Proszony jest o szybki odbiór.

3.

— Steffi: Dlaczego nie przyszła pani we czwartek? Proszę przyjść w niedzielę bezwarunkowo w ważnej sprawie. Czekam o umówionej porze w umówionym miejscu z motocyklem. Rączki całuję. Edmund.

4.

Przyczepka w dobrym stanie natychmiast poszukiwana dla motocyklu. Edmund Klepak, ul. Słowicza 109.

5.

Lisa srebrnego, dobrze utrzymanego kupi Klepak, ul. Słowicza 109.

6.

Małe auto dobrej marki na dwie osoby kupię okazyjnie. Klepak, ul. Słowicza 109.

7.

Kombinowane urządzenie, dwa tapczany oraz garnitur klubowy ze skóry natychmiast zakupi Klepak, ul. Słowicza 109.

9.

Fortepian tylko pierwszorzędnej marki poszukiwany. Edmundowa Klepakowa, ul. Słowicza 109.

10.

Poszukiwana dziewczyna do wszystkiego, umiejąca gotować i posiadająca długoletnie świadectwa. Klepak, ul. Słowicza 109.

11.

Wózek dziecinny dla bliźniaków okazyjnie kupię. Równocześnie sprzedam małe auto dobrej marki. Klepak, ul. Słowicza 109.

12.

„Wilcze oko", prywatne biuro detektywiczne informuje najdokładniej, obserwuje, przeprowadza wywiady, ul. Wesoła 16, telef. 123-544.

13.

Ewo! Uwaga! Moja żona śledzi nas przez detektywów. We czwartek nie przyjdź. Całuję. Edmund.

14.

Alfredzie: Uwaga! Mój mąż coś przeczuwa, bądź ostrożniejszy. Całuję Steffi.

15.

Nie ze swojej winy rozwiedziona 20-letnia, złotowłosa kobieta wyjdzie zamąż za nienagannego dżentelmena. Listy pod „Motocykliści wykluczeni".

16.

Umeblowany pokój tani poszukiwany, Klepak, ul. Słowicza 109. Tam także ze względów rodzinnych jest do oddania bezużyteczny motocykl.

WARUNKI PRENUMERATY:

rocznie	10 zł
półrocznie	6 „
kwartalnie	3 „
miesięcznie	1 „
numer pojedyńczy	35 gr

Redakcja i administracja: TORUŃ, UL. MICKIEWICZA 2/4
TELEFON RED.: 1067 (DOM SPOŁECZNY)

Redaktor: Zygmunt Chojnicki, Toruń, Mickiewicza 2/4

Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza z odp. udz.
Nr P. K. O. 210 701 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Nadesłanych rękopisów i fotografii Redakcja nie zwraca

DRUKARNIA SPÓŁDZIELCZA, TORUŃ

OGŁOSZENIA:

strona	200 zł
1/2 strony	110 „
1/4 strony	70 „
1/8 strony	40 „
1/16 strony	25 „